Krzysztof Materna: W Sosnowcu wszędzie miałem blisko, nawet na cmentarz

KRZYSZTOF MATERNA 02.02.2024, 07:25

Krzysztof Matern
Lewańska / Agen

Anna Malinowska

5

HONOROWY OBYWATEL
KRZYSZTOF MATERNA
SOSNOWIEC
WSPOMNIENIA

Jestem na bieżąco ze wszystkim, co w Sosnowcu się dzieje. Bo choć coraz rzadziej w nim bywałem, to duchowego kontaktu z moim miastem nie straciłem - mówi Krzysztof Materna, któremu radni przyznali honorowe obywatelstwo Sosnowca.

Krzysztof Materna to pochodzący z Sosnowca aktor, reżyser, producent filmowy, konferansjer, czy satyryk. Absolwent II Liceum Ogólnokształcącego im. E. Plater w Sosnowcu. Rozpoczynał karierę jako pracownik Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych, był też reżyserem oraz dyrektorem artystycznym koncertów na festiwalach opolskich i sopockich. Podczas ostatniej sesji rady miejskiej zadecydowano o przyznaniu mu tytułu honorowego obywatela miasta.

©AGENCJA wyborcza.pl

- Wojciech Mann i Krzysztof Materna w latach 90. Wojciech Mann i Krzysztof Materna Fot. Sławomir Kamiński / Agencja Wyborcza.pl

REKLAMA

DELETE MINES
SAVE LIVES

Anna Malinowska: - Sosnowiec może się kojarzyć z blokowiskami, ale pan mieszkał w kamienicy, w trochę innym otoczeniu niż wszechobecne wieżowce.

Krzysztof Materna: - Nasza kamienica znajdowała się na rogu al. Mireckiego i ul. Miłej, która później została przemianowana na ul. Kiepury. Nasze mieszkanie było na trzecim piętrze. To były duże trzy pokoje z kuchnią, które trzeba było ogrzewać węglem. Moje wczesne wspomnienia dotyczą wszelkich zajęć gospodarskich związanych z opałem - przywożenie węgla, zrzucanie go do piwnicy, a później przynoszenie wiadrem do mieszkania, by móc rozpalić w piecach, żeby było ciepło, ugotować obiad. Pamiętam też kiszenie kapusty w naszej kuchni, przygotowania, gdy pojawiała się w domu wielka beczka, szatkowanie główek, które trzeba było przynosić z piwnicy. Składowane były w niej też ziemniaki kupowane jesienią na całą zimę. Piwnica była ważnym pomieszczeniem w organizowaniu rodzinnego życia. Z jednej strony nasze życie przypominało wiejskie, z drugiej nasza kamienica była postrzegana jako budowla elitarna. Miała swoich żyjących za granicą właścicieli, których przedstawiciele pobierali od nas czynsz. Kamienica nieustannie przypomina mi nasze podwórkowe zabawy, które niezbyt podobały się mojemu ojcu. Razem z kolegami prowadziliśmy życie podwórkowe. Graliśmy w piłkę, bawiliśmy się scyzorykiem. Prowadziliśmy prawdziwe życie dzieci, którego dziś już nie ma.

- Mieszkał pan w miejscu, z którego dość blisko można się przemieścić w różne ważne czy ciekawe miejsca w Sosnowcu.

- Wszędzie mieliśmy blisko, nawet na cmentarz. Pamiętam kondukty pogrzebowe zmierzające al. Mireckiego w kierunku nekropolii. Obserwowałam je ze swojego balkonu. Czasem zamykany był przejazd kolejowy, bo przejeżdżał pociąg towarowy i na Mireckiego tworzyły się korki złożone ze zmierzających w stronę cmentarza żałobników. Mieszkałem w miejscu, w pobliżu którego znajdowała się duża przestrzeń sportowa - Klub Czarnych Sosnowiec, boisko, na którym odbywały się mecze, zawody lekkoatletyczne. Obok był ogródek jordanowski, gdzie często spotykaliśmy się po szkole. Mieliśmy też blisko do palmiarni z ogrodem botanicznym czy na Stawiki, w pobliżu których później wybudowano Stadion Ludowy.

Sport odgrywał ważną rolę w pana młodości?

© AGENCJA wyborcza.pl

- Krzysztof Materna Fot. Jakub Włodek / Agencja Wyborcza.pl

- Jak powiedziałem wcześniej, mój ojciec nie przepadał za życiem podwórkowym, ale pochwalał mój zapał sportowy. Należałem do MKS-u, dobrze grałem w koszykówkę, skakałem w dal, biegałem. Trenowałem w sekcji lekkoatletycznej Zagłębia Sosnowiec. W przededniu otwarcia Stadionu Ludowego dostałem od trenera "kolce", a takie buty do biegania były wówczas rarytasem. W przerwie meczu odbyły się zawody w biegu na 100 metrów, który, po 60 metrach, stał się moim koronnym dystansem. Z tego dnia zapamiętałem najbardziej "kolce" oraz to, że wówczas otwierano rzeczywiście dość nowoczesny obiekt i fakt, że nie rozegrano wówczas meczu piłkarskiego, ale rugby. Pierwszy raz oglądałem wówczas zmagania zawodników tej dyscypliny. Grały jakieś przyjezdne kluby, bo w Sosnowcu nie grano w rugby. Najbardziej popularna była piłka nożna i oczywiście Zagłębie Sosnowiec. Byłem wiernym kibicem, często chodziłem na mecze. Na trybunach nieraz widziałem Edwarda Gierka. Wie pani, czego mu wtedy najbardziej zazdrościłem? Koszuli non-iron i kurtki ortalionowej w zielonym kolorze. Wszyscy wtedy nosili granatowe ortaliony. Wszyscy prócz mnie, bo mój ojciec uważał, że prawdziwy dżentelmen zakłada płaszcz popelinowy.

Sosnowiec to miasto w dużej mierze ludzi przyjezdnych. Jak było w przypadku pana rodziców?

- Sosnowiec z ostatniej stacji kolejowej Królestwa Polskiego wyrósł na jedno z większych miast tegoż Królestwa. Przybywała do niego ludność w zależności od przeobrażeń gospodarczych. Przyjezdni szukali tu pracy. Ojciec mojej mamy przyjechał tu przed wojną z Małopolski i prowadził firmę transportową. Mama urodziła się już w Sosnowcu, liceum im. Plater kończyła na tajnych kompletach. Ta część rodziny jest więc sosnowiecka. Mój ojciec z kolei pochodził z Lublina. Rodzice poznali się w Krakowie na studiach. Mama ściągnęła ojca do Sosnowca, był inżynierem, pracował w przemyśle hutniczym. W czasie mojego dzieciństwa, później już w liceum moi rówieśnicy byli sosnowiczanami. W tym sensie, że ich przodkowie byli w mieście już w międzywojniu. Taki obraz społeczeństwa zmienił się wraz z budową Huty Katowice, gdy w Sosnowcu pojawili się zupełnie nowi mieszkańcy.

Do wyboru liceum namówiła pana mama?

- Krzysztof Materna Fot. Maciej Zienkiewicz / Agencja Wyborcza.pl

- W mieście były dwa najbardziej renomowane ogólniaki: Plater i Staszic. Obie szkoły konkurowały ze sobą we wszelkich możliwych kategoriach, nie tylko naukowych. Jeszcze w podstawówce byłem średnim uczniem, zwłaszcza jeśli chodzi o przedmioty ścisłe. Rodzice bali się, że nie zdam do Plater czy do Staszica i pierwszą klasę szkoły średniej kończyłem w liceum im. Prusa. Dopiero po niej przeniosłem się do Plater, w której spotkałem nauczycielki, które uczyły jeszcze moją mamę. Po pierwszej wywiadówce rodzice wpadli w rozpacz. Odbyła się rodzinna narada, w trakcie której oboje zastanawiali się, czy ja w ogóle nadaję się do jakiejkolwiek szkoły. Efekt był taki, że później cały swój wolny czas dzieliłem między siedzeniem w domu i nauką a uprawianiem sportu. Po pewnym czasie, gdy pojawiły się dobre stopnie, doszło jeszcze życie towarzyskie. To był cudowny czas, pamiętam twarze kolegów, koleżanek, ich imiona i nazwiska. Pierwsze randki, pierwsze prywatki, z których musiałem wychodzić jako pierwszy, gdy zaczynano tańczyć wolne numery. W domu nie mogłem być zbyt późno, bo wcześniej nakłamałem, że idę uczyć się do kolegi. Lubiliśmy chodzić do kawiarni Kolorowa. Mieściła się za Prezydium Rady Miejskiej i była po prostu zwykłą knajpką, która niczym specjalnym nie wyróżniała się od pozostałych. Piliśmy w niej polo-coctę, słodką, klejącą usta. Pierwszego papierosa wypaliłem dopiero na studiach. Moją sosnowiecką młodość prócz polo-cocty wypełniał sport, muzyka - uwielbiałem Rolling Stones - i zajęcia teatralne, które odbywały się w moim liceum. Traktowałem je jako interesujący sposób na spędzanie czasu, nie myślałem o sobie jak o osobie, które chce występować na scenie. Tak naprawdę chciałem być sprawozdawcą sportowym. Imponował mi pochodzący z Sosnowca Jan Ciszewski, na mojej ulicy mieszkał redaktor Ryszard Dyja, inny dziennikarz sportowy.

Dlaczego jednak wybrał pan scenę, a nie dziennikarstwo?

- Zdecydował przypadek. Miałem kontuzję, nie mogłem chodzić na treningi. Moja polonistka kazała mi wówczas nauczyć się fragmentów tekstów - liryki, prozy i publicystyki i wysłała na konkurs recytatorski. Wygrałem etap szkolny, miejski, wojewódzki i ogólnopolski. Przewodniczącą konkursowej komisji w ostatnim etapie była Danuta Michałowska, prorektor Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie. To ona namówiła mnie, przekonała do sceny. Wygrana ogólnopolskiego konkursu sprawiła, że pierwszy i ostatni raz w moim 75-letnim życiu uderzyła mi woda sodowa. W mojej szkole odbył się wówczas uroczysty apel, po którym obdarowano mnie tranzystorowym radiem Koliber. Mogłem z nim chodzić do Kolorowej, na spacery. Słuchałem na nim Radia Wolna Europa czy Radia Luksemburg i byłem na bieżąco z młodzieżową muzyką z list przebojów. Koliber był moim przenośnym okienkiem na świat. Zainteresowała się mną wówczas ogólnopolska telewizja. Do szkoły przyjechała dziennikarka z Warszawy, żeby zrobić materiał o recytującym chłopaku z Sosnowca. Poprosiła mnie, żebym idąc do szkoły, przeglądał jednocześnie tomik poezji. Że niby idąc do liceum, jeszcze czytam wiersze. Wówczas pierwszy raz zobaczyłem, że telewizja kłamie. Później pojechałem już na nagranie do studia do programu "Zbliżenia", w którym recytowałem Gałczyńskiego. Program oglądał cały Sosnowiec, ludzie poznawali mnie na ulicy. A w mojej głowie szumiała woda sodowa. Jakiś czas później prowadziłem z koleżanką szkolne przedstawienie. To były dialogi miłosne na przestrzeni wieków. Grałem tam też postacie Romea i Wokulskiego. Do dziś pamiętam recenzję, którą później zamieściły "Wiadomości Zagłębia", a która sprawiła, że sodówka ze mnie spłynęła: Krzysztof Materna jako konferansjer trochę siebie celebruje, ale w roli Romea jest świetny. Szkoda, że nie można tego powiedzieć o jego roli

Wokulskiego.

Opuścił pan Sosnowiec, wyjeżdżając na studia. Zdarzały się późniejsze wizyty?

- Hala Sportowa Częstochowa, 29 grudnia 2017 r. Piotr Gruszka i Krzysztof Materna podczas imprezy charytatywnej fundacji Kuby Błaszczykowskiego Fot. Grzegorz Skowronek / Agencja Wyborcza.pl

- W mieście bywałem tak długo, jak żyli moi bliscy. Teraz w Sosnowcu mam już tylko groby moich rodziców i dziadków. Odwiedzam je za każdym razem, gdy przejeżdżam w okolicy i obowiązkowo 1 listopada. Tym, co działo się w mieście, zawsze się interesowałem. Niestety był czas, gdy w moim odczuciu działy się w Sosnowcu dość dziwne rzeczy. Władze tego miasta publiczne krytykowały wyjazd uczniów do Francji, bo tam mieliby się spotkać z czarnoskórymi rówieśnikami. Albo władze nieprzychylnym okiem patrzyły na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy. To stało w sprzeczności z moją otwartością na świat, tolerancją. Wówczas to przestałem odpowiadać na oficjalne zaproszenia Sosnowca, zawiesiłem oficjalne kontakty z moim rodzinnym miastem. Dopiero kilka lat temu zauważyłem, że coś zaczyna się zmieniać. Miasto zmieniło swój stosunek do WOŚP i teraz w Sosnowcu odbywa się wojewódzki finał. Wybudowano piękny i nowoczesny kompleks sportowy, co bardzo cieszy. Podobnie jak zmiany w Teatrze Zagłębia, w którym pojawili się nowi, młodzi ludzie, którzy zrobili kilka interesujących przedstawień. Jak pani widzi, jestem na bieżąco ze wszystkim, co w Sosnowcu się dzieje. Bo choć coraz rzadziej w nim bywałem, to duchowego kontaktu z moim miastem nie straciłem do tej pory. Dziś z pozycji, w której jestem i wraz z upływem czasu, moje wspomnienia dzieciństwa, pobytu w Sosnowcu wydają się absurdalne. Ale tak rzeczywiście było, co wzbudza mój wielki sentyment do czasu radosnego i pogodnego.

Zaproś znajomych do dyskusji

Odblokuj dostęp do tekstu